

Czy potrzebna nam ekstrema?



foto: Denis Bailhouse/Red Bull

Czy rozwojowi paralotniarstwa służy określanie go mianem sportu ekstremalnego? Jakie są konsekwencje promowania przez media najbardziej niebezpiecznych jego aspektów? Co my – piloci zyskujemy, a na czym tracimy przez takie podejście do latania na paralołtni?

Na pierwszych Mistrzostwach Świata w Akrobacji Paralotniowej i Lotniowej, rozgrywanych w sierpniu w szwajcarskim Villeneuve zabrakło reprezentacji Niemiec. Nie dlatego żeby Niemcy nie mieli zawodników potrafiących wykonywać akrobatyczne figury. Wręcz przeciwnie – jest takich nad Renem całkiem sporo. Ba, pozajmowali nawet wysokie miejsca w tych zawodach. Jednak nie było im dane występować w barwach własnego kraju. Dlaczego? Wszystkie przez oficjalne stanowisko DHV, zgodnie z którym promowanie tego rodzaju aktywności lotniczej jest sprzeczne z polityką DHV, oraz to, że akrobacje na paralołtniach są ciągle w Niemczech oficjalnie niedozwolone.

„... Szeroka opinia publiczna ciągle jeszcze nie ma zielonego pojęcia

o paralołtniarstwie, lub w najlepszym razie ogólna wiedza o tej aktywności sportowej jest bardzo powierzchowna. Latanie na paralołtniach staramy się zaprezentować jej jako poważny rodzaj sportu i stawiamy na pierwszym planie pozytywne przeżycia związane z unoszeniem się w powietrzu. Należy się obawiać, że obraz tego pięknego sportu lotniczego zostałby zdominowany przez pozornie bez kontroli spadające kłęby tkaniny, karkolomne loopingi i ekstremalne spirale, bo zainteresowanie mediów takim spektakularnym widowiskiem jest odpowiednio duże. Byłoby godne pożalowania gdyby z całą pewnością tak medialna impreza jak Mistrzostwa Świata w Akrobacji Paralotniowej ukształtowała u widzów i czytelników prasy całkiem przeciwieście fałszywy obraz paralołtniarstwa jako całości...” (wolny przekład

cytatu oficjalnego stanowiska DHV – za miesięcznikiem „Gleitschirm”).

Uważam, że jest to słuszna polityka. Polityka, która dąży do utworzenia z tej najmłodszej i najprostszej z lotniczych dyscyplin aktywności dostępnej każdemu przeciętnemu, w miarę sprawnemu obywatelowi. No i w ślad za takim stanowiskiem idą określone, intensywne działania popularyzatorskie i informacyjne.

W przeciwnym kierunku zmierzają działania tych, którzy nazywają rozmaite agendy sportu paralołtniowego (szkoły, firmy produkujące i handlujące sprzętem, zespoły sportowe itp) stosując rozmaite warianty słowa „extreme” czy „adrenalina”. Właściwie nie jest to ani zabawne, ani potrzebne i pokazuje tylko naiwną chęć do uprawiania czegoś wyjątkowego. A już na pewno dostarcza to argumentów tym, którzy

podwyższając składki ubezpieczeniowe lub decydując o wyłączeniu takiej czy innej ekstremalnej działalności z zakresu ogólnej opieki zdrowotnej.

Skąd niby ta ekstrema?

Jak to właściwie w końcu jest? Jest paralotniarstwo owym legendarnym sportem ekstremalnym? Czy jest sportem podwyższonego ryzyka, który uprawiając bywa się zmuszanym do dopłacania stonoch dodatków ubezpieczeniowych? Dlaczego tak jest, że właśnie nasze ulubione paralotniarstwo jest niemalże regularnie podawane jako przykład na niebezpieczny, ekstremalny rodzaj sportu?

Wielu młodych pilotów, zwłaszcza w początkach kariery paralotniowej, odczuwa pewien rodzaj dumy, że uprawia taki właśnie niebezpieczny, osnuty tyłu legendami sport. Wszyscy to przechodziliśmy. Na szczęście też i z tego się wyrasta.

Ja w każdym razie nie uważam żebyśmy uprawiali sport ekstremalny. Właściwie to nawet nie sport o podwyższonym stopniu ryzyka. Pytanie brzmi bowiem nie co się robi, a jak się to robi?

Żeglarz, który przy niemal bezwietrznej pogodzie wypływa na niewielkie jezioro na swojej łódce nie jest z pewnością żadnym sportowcem ekstremalnym. W przeciwieństwie do niego skipper, który pokonuje pod wiatr przyładek Horn podczas sztormu, albo samotnie żegluje w zimie przez Północny Atlantyk z pewnością tak. Narciarze, którzy powoli pługiem zjeżdżają zieloną

nartostradą podejmują minimalne ryzyko. W przeciwieństwie do nich taki, który pędzi nie wytyczonym szlakiem na łeb na szyję z Mont Blanc jest z pewnością sportowcem-ryzykantem. Takich przykładów można podać naturalnie znacznie więcej i niemalże we wszystkich dyscyplinach sportu.

Gdzie leży granica?

Sportowcy uprawiający paralotniarstwo wyczynowo i biorący udział w zawodach najwyższej rangi, latają często na granicy ryzyka. Tak niestety musi już być. Inaczej mieliby niewielkie szanse dotrzymania kroku konkurencji. Taki charakter ma dzisiejsze współzawodnictwo sportowe. Mimo iż wyczynowcy dysponują zwykle najwyższym stopniem wykszolenia i ogromną praktyką, od czasu do czasu zdarzają się nieszczęśliwe wypadki. W takich warunkach uprawia się z pewnością ekstremalny rodzaj sportu, a zawodnicy są w pełni świadomi ryzyka i niebezpieczeństw jakie temu towarzyszą.

Raul Rodriguez jest sportowcem ekstremalnym i uprawia sport o maksymalnym stopniu ryzyka, gdy po wyskoczeniu z helikoptera kręci przeszło 100 tumblingów jeden za drugim. Pilot, który zadowolony wieczornym złotem przy bezwietrznej pogodzie z pewnością nim nie jest.

Problemem jest gdzie leży granica? Niestety, jest ona bardzo niewyraźna i płynna. Ciągłe trafiają się krótkowzroczne jednostki w szerokiej społeczności paralotniowej,

Pełnowartościowe latanie oznacza opanowanie odpowiedniego skrzydła w warunkach odpowiednich do umiejętności pilota. Można do końca życia być szczęśliwym wykonując proste zloty i loty żaglowe, gdy to odpowiada wymaganiom, zdolnościom i aspiracjom. Wtedy nie będzie to żadną ekstremą.

które uważają, że przykładowo lot w popołudniowej termice z noszeniami powyżej +4 m/s musi należeć do standardowego repertuaru każdego pilota, że ktoś kto nie rzucał paki nie jest jeszcze pełnowartościowym pilotem, że każdy musi poprobować co się dzieje podczas „zrzucania połówki” czy podczas prowokowania i wyprowadzania full stallu. Jest to podobna bzdura jak wspomniane powyżej stanowisko wielu firm ubezpieczeniowych, a także, niestety, niektórych ustawodawców.

Siły kontra zamiary

Wielu pilotów, którzy potrafią znakomicie panować nad skrzydłem, mających duże doświadczenie i perfekcyjną technikę, rezygnuje z lotów w mocnej termice i lądują, bo nie pasuje im stosunek ryzyka do przyjemności. W końcu to nasze latanie ma też sprawiać frajdę, a nie być testem na przetrwanie!

Pierwsze, pobieżne analizy wypadków z bieżącego sezonu wskazują wyraźnie, że główną przyczyną ciągle i znowu jest przecenienie własnych możliwości technicznych i braki w wiedzy teoretycznej. Z pięciu wypadków śmiertelnych tego sezonu dotyczy to co najmniej trzech: start w silnych turbulencjach zawiętrzonych, spirala bez odpowiedniego doświadczenia na wymagającym skrzydle, pierwszy lot sezonu w ostrych warunkach.

Miejmy nadzieję, że wszyscy w końcu i nie za późno zaczniemy wykazywać umiar, rozbudujemy w sobie i zachowamy należyty respekt dla poruszania się w trzecim wymiarze i świadomie zrezygnujemy z ekstremalnych działań. Uprawianie paralotniarstwa naprawdę dostarcza wystarczająco dużo emocjonalnych wrażeń pozytywnych.

I będzie nam dane latać do późnej starości, tak długo jak długo nogi będą chciały nas nieść na startowisko. A mianowicie tylko wtedy, gdy warunki będą odpowiadały naszym umiejętnościom i naszej zmieniającej się kondycji fizycznej. Będziemy do końca potrafili w naszym pięknym sporcie mieścić zamiar podług sił.

Swoją drogą ostatnio słyszałem twierdzenie jakoby „...podwyższony poziom adrenaliny zaostrzał zmysły...”. Coś w tym jest. Jednak i tu wskazany jest umiar.

Zdzisław „Toni” Stankiewicz

Tak naprawdę to my i poziom naszych umiejętności decyduje o tym czy coś jest ekstremalne, czy nie

